

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXI

WARSZAWA, DNIA 9 LUTEGO 1929 ROKU

NR. 6

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

## MECHANIZM ŻYCIA

19)

— No, wie pan, dziwne pytanie! Chyba dość natrętnie przyglądałam się panu. Zato pan mnie napewno nie zauważył.

— O, doskonale panią pamiętam.

— Dlaczego pan tak nagle uciekł?

— Tak — odparł wymijająco Calewicz. Nie chciał mówić rzeczywistej przyczyny, podejrzewając pannę Witecką o sympatię dla Henia. Ale ona roześmiała się nagle.

— A ja się domyślam. Nie mógł pan wytrzymać z tą czerwoną małpą.

— Czerwoną małpą?

— No, z tym, tym pańskim uczniem. Wyobrażam sobie, co to był za idjota. Serdecznie panu współczułam.

Calewicz rozpromieniał nagle.

— Pani prawdę mówi?

— Mój panie, cóż to za dzikie obyczaje! Pierwszy raz rozmawiamy, i już mnie pan podejrzewa o kłamstwo.

— A ja myślałem, że mój uczeń bardzo się pani podobał.

— Jaki i pan był głupi. O, przepraszam!

Calewicz wcale się nie obraził. Przeciwnie, tak to przyjął, jakgdyby panna Witecka powiedziała mu coś niesłychanie miłego i zabawnego.

— Pragnęłabym z panem dłużej porozmawiać.

— No, to rozmawiajmy.

— Nie, ja chcę tak rozmawiać, żeby nam nikt nie przeszkadzał. Czy pan sam mieszka?

— Nie. Z matką.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Byłabym do pana przyszła.

— Może pani przyjść swobodnie. Moja matka do wpół do czwartej bywa w biurze.

— W takim razie, jutro o drugiej. Ale, a jaki adres pański?

Calewicz tak był uszczęśliwiony, że z trudem przypomniał sobie, gdzie mieszka.

— A teraz, może pan uciekać. Ja już się tu zajmę pańską warjatką.

### VII.

W niedzielę po południu Krzysia była sama w domu. Zamyślona, spacerowała po salonie i raz poraz zatrzymywała się przy drzwiach balkonu. W ściemnionej, przez brak światła sklepowych, ulicy

sylwetki przechodniów nabierały nieokreślonej tajemniczości. Z ruchów ich uciekało życie i zdawało się, że są automatycznymi lalkami. Żółto oświetlone tramwaje nudno przetaczały się po szynach i nad wszystkim ciążyła świąteczna bezdusznosc. Krzysia wciąż myślała o swojej wczorajszej bytności u Calewicza. Poszła bez najmniejszego wahania i przez drogę nękała ją tylko myśl jedna, żeby Calewicz uwierzył, że to nie był kapryśny wybryk z jej strony, tylko bardzo przemyślane postanowienie. Spędziła u niego półtorej godziny i największą radością przejmowało ją to, że ta pierwsza prawdziwa ich rozmowa odbyła się tak, jak sobie wyobrażała. Szczycąc się swoją zimną, męską logiką Krzysia nie zastanawiała się tylko nad tem jednym, że właściwie tej rozmowy nie wyobrażała sobie wcale. Ani słowem nie wspomnieli oboje, że są w sobie zakochani, tylko przyznali się nawzajem, że od czasu pierwszego przelotnego spotkania w Urłach nie przestawali o sobie myśleć. Calewicz odprowadził ją do domu i kiedy Krzysia znalazła się nareszcie u siebie na schodach, ogarnęła ją prawie rozpacz na myśl o tych najważniejszych rzeczach, jakich nie dopowiedziała jeszcze. I rozumiejąc teoretycznie, że wszystko to można było przecież dopowiedzieć przy następnym spotkaniu, odczuwała to tak, jakgdyby coś straconego bezpowrotnie. We drzwiach mieszkania usłyszała dzwonek telefonu. Biegnąc do aparatu, wiedziała, że to dzwoni Calewicz. I nie omyliła się rzeczywiście. Z zabawnym zakłopotaniem usprawiedliwiał się, że dzwonił z najbliższego sklepu, bo się bardzo stęsknił. Odpowiedziała mu: — Ja tak samo. — I każde z kilkunastu chaotycznych zdań, jakie zamienili, było w tonie podkładanem pod obojętne słowa wyznaniem miłości.

A teraz nie mogła odżałować, że mieli się spotkać dopiero nazajutrz. Sama zresztą przeskoczyła niedzielę, bo nie umiała sobie wyobrazić gdzieindziej serdeczniejszej rozmowy z Calewiczem, niż u niego. Ogarnęła odrazu uczuciem te dwie bardzo ciasne klitki i obraz biedy ich napełnił ją niesłychanym rozrzwieniem. Żałowała, że nie wzięła od Calewicza choć jakiejś książki.

Z zamyślenia wyrwał ją nagle gwar w przedpokoju. Rodzice z Helą wracali z jakiejś popołudniowej wizyty, na którą Krzysia nie chciała iść. Hela zająrzała do salonu.

— Cóż ty tak pociemku sterczysz? Żałuj, żeś nie poszła z nami. Bardzo było przyjemnie.

— I mnie było przyjemnie.

I nie słuchając siostry, która z hałaśliwym śmiechem zaczęła jej opowiadać o wizycie, Krzysia uciekła do swego pokoju. — Zawsze musi manifestować swoje dziwactwa — zauważyła pani Witecka, — ale ponieważ uznano to już w domu za pewien przywilej Krzysi, więc zostawiono ją w samotności... Zresztą niewiele jej z tego przyszło, bo miała myśli rozbite i tylko dlatego dosiedziała u siebie do kolacji, żeby jej zniecierpliwienie nie wyglądało na jakieś nieuzasadnione grymasy. Przy stole rozmawiano w dalszym ciągu o wizycie. Witecka oburzała się na jakąś panią, która się rozwiodła z mężem i część mieszkania odstąpiła swojemu nowemu narzeczonemu. Krzysia spoglądała na matkę wyzywająco.

— A cóż w tem złego?

Witecka wzruszyła ramionami, widocznie jednak przyszły jej zaraz na myśl pedagogiczne obowiązki matki, gdyż odparła spokojnie:

— To w tem złego, że wszyscy będą rozpowiadali napewno, że ze sobą romansują.

— A mama sądzi, że nie?

Było to powiedziane takim tonem, że Witecka w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, czy Krzysia żartowała, czy mówiła poważnie. Krzysia, jakgdyby odgadując wahanie matki, dodała zaraz:

— Ja sądzę, że romansują.

— No, wiesz...

— Cóż tak mamę oburzyło?

— Z tobą się dogadać nigdy nie można. Chyba naumyślnie głupią udajesz.

— Nie rozumiem mamy.

— Zdziwiłaś się, gdy mówiłam, że to nietaktowne. A sama robisz złośliwe plotki.

— Nic złośliwego nie powiedziałam. Byłoby złośliwe, gdybym przypuszczała, że nie romansują, boby to dowodziło, że ich uważam za parę idjotów.

Witecki kiwnął potakująco głową z uśmiechem. I tem ściągnął na siebie zgorszenie żony.

— Mógłbyś już tych cynizmów nie aprobować.

— Pocóż ty tak odrazu wszystko patetycznie bierziesz. Przecież rozumiem chyba, że to żarty.

Krzysia zmarszczyła brwi, zamyśliła się, a potem, potrząsnawszy nagle bujną czupryną, która jej opadła na czoło, zwróciła się do ojca.

— Ja nie żartuję.

— W takim razie, poprostu głupstwa pleciesz.

— Mojem zdaniem — nie.

Witecki skrzywił się i machnął ręką. Był to gest dla całej rodziny zrozumiały. — Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż wdawanie się z wami w dysputy. — Zazwyczaj przecinało to rozmowy, nie dlatego, aby autorytet jego był tak wielki, tylko, że i żona i córka wiedziały, że nie będzie ich słuchał. Tym razem Krzysia, dla której rozmowa ta łączyła się z jej długimi rozmyślaniami, postanowiła przewyciężyć apatję ojca i zmusić go do słuchania.

— Mój tatusiu, nie można nam zawsze dawać tylko do zrozumienia, że jesteśmy głęsi. Ja chcę pomówić poważnie.

Witecki uśmiechnął się ironicznie.

— Poważnie, o głupstwach?

— A czyżby tatuś to potępił, gdybym ja albo Hela, nie mogąc dla tych, czy innych powodów wyjść za mąż, zamieszkały z kochanym człowiekiem, tak, jak ta pani.

— Może ty! — wybuchnęła Witecka. — Za Helę ręczę, że tego by nie zrobiła! I wogóle, czy nie można obracać sobie jakich innych tematów do rozmowy?

— Nalej-no mi lepiej jeszcze herbaty — odezwał się Witecki. — A jeżeli chcesz, żebym ci odpowiedział poważnie na pytanie, to ci odpowiem. Nigdy w życiu nie zamieszkałabyś bez ślubu z najbardziej kochanym mężczyzną.

— Otóż, bardzo się tatuś myli.

— Krzysia, daj spokój — wtrąciła Hela.

Witecka poczerwieniała z oburzenia.

— To już poprostu niesmaczne.

— Daj jej spokój — ziewał Witecki. — Niech plecie, kiedy ją to bawi.

— Ależ ja nie plotę! — wybuchnęła nagle Krzysia z błyskiem takiego podniecenia w oczach, że wszyscy spojrzeli na nią zdziwieni. — Zrozumcie, że nie plotę! Mówię najzupełniej poważnie. Ja bardzo długo o tem myślałam.

— Ale narazie nie masz zamiaru zamieszkać z ukochanym człowiekiem? — uśmiechnął się Witecki.

— Kto wie?

Witecka zerwała się z krzesła.

— Czyś ty oszalała do reszty.

Bardziej od słów Krzysi przestraszył ją uroczysty ton tego powiedzenia.

Krzysia nie straciła spokoju.

— Moja mamó. To jedyny argument, na jaki mama potrafi się zdobyć. Nigdy w życiu nic innego od mamy nie słyszę, tylko — czyś ty oszalała, czyś ty oszalała. — Ja chyba nie wyglądam na szaloną.

Hela wpatrywała się w siostrę z wyrazem przerażenia w szeroko otwartych oczach. Źródłem tego przerażenia jednak była nie możliwa decyzja siostry, tylko przykrość, jaką by to sprawiło rodzicom. Zasadniczo od początku rozmowy stała po stronie Krzysi. I wydało jej się, że teraz dopiero zrozumiała, dlaczego Krzysia się uparła, żeby popołudniu zostać w domu. — On tu musiał napewno być — pomyślała. Kim miał być ten on, nie miała najmniejszego pojęcia. Wszystko jednak wydało jej się tak straszne i tajemnicze, że postanowiła natychmiast poświęcić życie dla ratowania siostry. I łzy zakręciły jej się w oczach.

— Krzyska — jęknęła cicho.

— Czegóż ty już zaczynasz swoje beki?

— Widzisz, widzisz, do czego ty nas wszystkich doprowadzasz! — krzyknęła Witecka i objęła Helę w pół. — Biedne moje dziecko, nie płacz, uspokój się!

Witecki przyglądał się Krzysi z widocznym zaniepokojeniem. Zadobrze znał córkę, żeby nie widzieć, że wstrząsnęły nią jakieś głębokie uczucia. I rozumiał doskonale, że Krzysia nie brawurowała i że nie można tego było zbyć lekceważeniem.

— Moje dziecko — odezwał się po chwili — wytłómacz mi, co to wszystko ma znaczyć?

Oczy Witeckiej latały niespokojnie od Krzysi do męża. Nagle podniosła się z krzesła, pociągając za sobą Helę.

— Najlepiej rozmówcie się sami.

— Mama już robi dramat.

— Moja Krzysiu, czegóż ty chcesz odemnie?

— Mama chce odrazu urządzać jakąś uroczystą spowiedź. Nie mam żadnych grzechów na sumieniu.

To jej zapewnienie przyniosło wszystkim ulgę. Mimo to, Witecka z Helą wyszły z pokoju.

— I czemuż ty drażnisz matkę? — odezwał się Witecki.

— Niechżeż mi teraz tatuś odpowie spokojnie. Czy to jest co złego żyć bez ślubu? Sam utrzymywałeś nieraz, że nie.

D. c. n.

6) **MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA**

Oczy jej przebiegały kolejno pokój, gdzieśmy się znajdowali, to znów spoczywały na Machnie. Pokój należał do burżuazyjnego domu, komfortowego, obszernego. Widziała tylko okrągłe plecy bat'ki i jego wysoką czapkę futrzaną, której prawie nie zdejmował.

Skończywszy swój przegląd, zaczęła spokojnie rozlewać herbatę do filiżanek.

— Czy chce pan herbaty, towarzyszu Machno? — spytała pewnym głosem.

Stała za stołem, spokojna, uśmiechnięta, jak uprzejma gospodyni domu i zapraszała go wdzięcznym ruchem.

Wstrzymywałem swój oddech, jakbym się znajdował w obecności dzikiego zwierzęcia, chwilowo spoczywającego, lecz którego można rozdrażnić do szału najłżejszym hałasem.

Machno przymknął nawpół powieki.

— I owszem, chce mi się pić, później wrócimy do pracy, — powiedział. I usiadł naprzeciwko niej.

Wyobraża pan sobie tę parę?

W gruncie nie, wyobrazić jej pan sobie nie może, gdyż przypominam sobie, że wbrew wszystkim zasadom dobrze ułożonego opowiadania nie opisałem dotąd Machny.

Nie sądziłem, aby to mogło być potrzebne, lecz teraz nadeszła chwila skreślenia jego portretu. Dziewczyne już opisałem.

A oto bat'ko.

Wzrost raczej niski. Ramiona wąskie, pierś wklęsła. Nosi kurtkę z ciemnego sukna, długie buty i futrzaną czapkę. Włosy jego, czarne, jak smoła, spadają mu na ramiona.

Twarz ma równie chorobliwy wygląd, jak i ciało. Ziemisto - żółta, ogolona, uderza dzikością wyrazu ust i zwiędnięciem policzków. Lecz nie uderza to zmęczenie twarzy, które możnaby wziąć za ascetyczne wyniszczenie mnicha. Oczy tylko przyciągają wzrok. Nie widziałem nigdy takich.

Nie zmieniają nigdy wyrazu, czy rozumiecie to? Nigdy. Ani gdy się śmieje, ani gdy wydaje rozkazy najdziwaczniejsze, ani w ataku, ani w ucieczce. Są to oczy wszystko wiedzące i które skończyły na zawsze z wątpliwościami.

Nie wycytacie nigdy w tych oczach ani pragnień, ani obawy, ani radości, ani rozpacz, ani miłości. Uczucia te zostały zmielone, sproszkowane, i pozostał po nich blask ostry, uparty, który wiecznie błyszczy w piwnych oczach Machny.

I oto te dwie twarze nawprost siebie!...

Od tej chwili przestałem istnieć. Starłem się zresztą o to, aby jaknajbardziej usunąć się z oczu i temu zawdzięczam, że byłem obecny przy całej tej scenie. Bat'ko pił herbatę w milczeniu. Zmęczenie malowało się na jego twarzy. Wysięk przejrzenia papierów łagodził nieco dzikość jego ust i miał wygląd prawie ludzki, siedząc przed swą filiżanką.

Dziewczyna nie mąciła ciszy. Czułem, że jest zdziwiona i poraz pierwszy — zbita z tropu.

Spodziewała się słów szorstkich, ruchów brutalnych, oczekiwała, że znajdzie się wobec krwiożerczego żołdaka. Tymczasem miała przed sobą wątlęgo człowieka, którego zdawały się zjadać tuberkuły i który milczał.

Czy Machno zdawał sobie sprawę z tego, co się w niej działo, nie wiem, lecz przestając pić, brutalnie rozkazał:

— No, mówcie co.

Odchyliła się nieco w tył, jakby chcąc lepiej widzieć tego, który odzywał się do niej szorstko.

— Nie mam nic do powiedzenia, — odpowiedziała, — przyszłam po przepustkę. Nie dostałam jej. Pan kazał mi tu przyprowadzić, pana rzecz mówić.

Machno nie przywykł do takiej pewności siebie. Usta jego zmieniły swój zły wyraz na wściekły.

— POCO ta przepustka? — krzyknął. — Niedobrze ci tu, hę? Boisz się?

— Wcale nie.

Bat'ko zbliżył ku niej swą twarz, tak go ta odpowiedź zdumiewała. Przyglądał się długo jej rysom dziecinny.

Może go wzruszyła gładkość tej młodej skóry, lub rys pełny powagi na czole? Usłyszałem w każdym razie, że zamruczał jakby mimowoli:

— To prawda, ona jeszcze za mała.

Lecz próżność jego znieść nie mogła tak niesłychanego wyzwania. Najwyższą jego chlubą było napędzać trwogą. Nikt nie powinien być bardziej groźny, bardziej dziki i niszczycielski nad bat'kę Machnę.

Powiedział z szyderym śmieszkiem:

— Masz szczęście, żeś nie słyszała o mnie.

— Ależ owszem, dużo słyszałam.

— A więc?

— Nie wierzę w to, co opowiadają.

— Ach! Nie wierzysz! Zaręczam ci, że źle robisz.

Spytaj go (wskazywał na mnie), w jaki sposób zawaraliśmy znajomość. Tańczyłem na trupach niemal jeszcze żywych, tak, na trupach bez głów, bez uszu, bez rąk. Wszystko to obcięto z mojego rozkazu. Ale mam też inne zabawy do twojej dyspozycji. Jeśli zechcesz, to każę poćwiartować w pasy kogokolwiek. A może wolisz być obecną przy wbijaniu na pał, lub widzieć, jak się wyrывa paznokcie? Mnie to już nie bawi, lecz wystarczy twoje skinienie.

Zbliżał się coraz do niej, prawie, że dotykał jej i upajał się dumą swą i okrucieństwem.

— Czy wiesz, — ciągnął dalej, — że setna część krwi przelanej własnymi memi rękami wystarczyłaby, aby ci zrobić piękną suknię purpurową? I taką odszyi aż po kostki! A ten stary przyjaciel (pieścił rękę Colta, który miał za pasem) tyle głów strzaskał, że możnaby opasać niemi Kreml? Czy zaczynasz wierzyć temu, co o mnie mówią?

Dziewczyna nie odpowiadała zrazu. Wobec tego monstrualnego przechwalstwa nie spuszczała Machny z oka. A w jej oczach, zapewnić mogę, iż nie widziałem ani obawy, ani grozy, lecz smutek rosnący z każdą chwilą, smutek głęboki i rozdzierający, który dochodził do granic rozpacz ludzkiej.

Powiedziała wreszcie:

— I czemu? Czemu?

W głosie jej była nieskończona chęć wiedzieć. Nie była to ciekawość. Chciała znać przyczynę tylu zbrodni, aby móc je przebaczyć. Nie mogła dopuścić myśli, by tak zwierzęce okrucieństwo mogło być daremne.

Bat'ko zrozumiał, lecz duma jego nie ustępowała jeszcze. A ponieważ powtarzała słabym głosem:

— Czemu? czemu?

Krzyknął:

— Jestem Machno i po wszystkim.

To był jego jedyny i najwyższy argument. Czućcie, nieprawdaż, jakim tonem go wymawiał, oraz ile wkładał weń despotyzmu, arbitralności, piekielnej radości, wyzywając świat dla własnej przyjemności. Nikt nie śmiał odpowiedzieć na ten frazes, tak był nabrzmiały szaloną próżnością i najstraszniejszymi groźbami.

„I po wszystkim“.

Gdy to Machno wypowiedział, ani Bóg, ani djabł nic poradzić nie mogli.

Ale na dziewczynie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Zwolna pokiwała głową, a spojrzenie jej stało się głębsze, bardziej błagalne.

— To być nie może, musi być inna przyczyna, nieszczęsny człowieku...

Wówczas poraz pierwszy w mem życiu i w jego, sądzę, zobaczyłem rodzaj konfliktu wewnętrznego u atamana. O! było to bardzo pierwotne i trzeba go było znać, jak ja go znałem, aby to zauważyć.

Począł gryźć sobie rękę, jakby chciał z niej wycisnąć cierń. Tylko tyle, ale to wystarczyło, abym wiedział, że się waha.

Co było tego przyczyną? Czy walczyła w nim próżność nieugięta z chęcią usprawiedliwienia się?

Machno usprawiedliwiający się! Czy możecie sobie wyobrazić coś podobnego?

Gdyby dziewczyna jeszcze przemówiła, nie zniósłby tego upokorzenia, i rękę swem życiem, że byłby jej strzaskał głowę jednym uderzeniem kolby i moją także za to, że był świadkiem tej rozmowy.

Lecz ona milczała, spoglądając nań z całą swą dobrocią, z głębią smutku. On zwolna słabnął. Oczy jego nie mogły zmienić wyrazu, gdyż to była pieczęć, którą go przeznaczenie naznaczyło, lecz cała twarz jego stawała się bardziej miękka, zatracala ostrość konturów.

Nagle wyciągnął ramiona na stole, z pięściami zaciśniętymi.

— Podnieś trochę rękawy moje, — rozkazał.

Usłuchała, nie rozumiejąc.

Machno szorstkim ruchem podniósł do jej oczu kiście swych rąk, krzycząc:

— Czyż nie widzisz?

Spojrzała na dwie głębokie blizny, wokoło kiści bat'ki. Wyglądało to na ukąszenie psa, źle wyleczone.

— Co to takiego? — spytała zdumiona.

Odpowiedział przez zaciśnięte zęby, a cała jego nienawiść i bunt drżały w jego przerywanym głosie:

— To ślady kajdan... dziesięć lat... W celi... Nic tego nie usunie...

Nie spytała go, za co był w więzieniu.

Cóż chcecie, była to z pewnością dziewczynka rosyjska, wychowana na zasadach Dostojewskiego i Tołstoja, dla której kara po stokroć zmazywała winę. Nie miała ani pańskiej logiki, drogi panie, ani zmysłu legalności, lecz mogę pana zapewnić, że nie logiką można było walczyć z Machną.

Nie wytłumaczę więc panu, czemu na samo słowo: „więzienie“ studentce tej żal się zrobiło bat'ki.

Chwyciła konwulsyjnie jego ramiona i bez żadnego wstrętu, jakby to były ramiona brata, poczęła

gładzić blizny. Palce jej przesuwaly się lekko i łagodnie po straszliwych śladach kajdan.

Machno przymknął oczy, jakgdyby zbyt cierpiał w tej chwili, że nie może znieść ich spojrzenia. Wydaje mi się rzeczą niepodobną, aby twarz ludzka mogła wyrażać więcej szczęścia i zarazem bólu.

Wydawał się wyzuty z sił, na progu śmierci.

Bezwiednie wstał i upadł na kanapę, stojącą niedaleko stołu.

Równie bezwiednie, jak on, dziewczyna poszła za nim, znów ujęła jego rękę.

Co się działo w tej chwili w jej sercu? Czemu nie wracała jej kontrola nad własnymi czynami, po pierwszym odruchu litości? Czemu ulegała pociągowi do tego barbarzyńcy?

Powiadają, że kobiety lubią krew, że zbrodniarze fascynują je, i, że choć same słabe i delikatne, wrażliwość ich wzrusza człowieka, który często zastępował śmierć.

Możliwe.

Dzieweczka ta była czystą wśród czystych, lecz nie rozkazywała swemu ciału, a wiadomo, drogi panie, ile mętów drzemie na dnie cielesności.

A przytem, czyż potrzeba tego, aby wytłumaczyć tę scenę? Czy wiemy, ile szaleństw może zrodzić się w głowie marzycielskiej dziewczynki? Może wyobraziła sobie, że odkupi nieszczęśnika, że wzbudzi w nim skruchę, że go podniesie ku innemu życiu? W każdym razie, było faktem, że usiadła obok Machny i zaczęła mu znowu głaskać rękę. Bat'ko siedział bez ruchu. A jednak brutalnie lubił kobiety. Niejedno ciało nosiło ślady jego zębów. Lecz tu wydawał się jakby urzeczony.

Siedzieli tak długo. Machno miał oczy uparcie zamknięte i nie otwierając ich, zaczął opowiadać, głosem, którego nie słyszałem u niego, o swych latach więzienia.

Mówił głosem bolesnym, naiwnym, o stróżach więziennych, o pracach wyczerpujących, o brudzie, o śniegu, a zwłaszcza o swych kajdanach.

Został mu po nich tajemny strach, który dopiero się teraz zdradzał i który pozostawił w jego pamięci palący ślad.

— ...Były ciężkie i zardzewiałe, — mówił. Czuję, że wypijają moją siłę. Dlatego tarłem je wciąż, aby je zużyć. Tarłem je...

Umilkł i otworzył oczy.

Po ich blasku zbyt bliskim dziewczyna zrozumiała nagle, że siedzą obok siebie i że ciała ich się stykają.

Zmieszała się na chwilę, łagodnie cofnęła rękę, odsunęła się na drugi koniec kanapy.

Machno w milczeniu spoglądał na jej ruchy, nie usiłując jej zatrzymać, lecz spostrzegłem natychmiast, że wrócił mu dawny wyraz twarzy.

Ona też to spostrzegła i zlekła się wreszcie. Mniej jego, niż siebie, gdyż mimowoli, dotykając go, zerwała te więzy, które na razie powstrzymywały dzikusa, a na które składały się: jej młodość, jej świeżość i jej dziewiczość.

— Czy mógłby mi pan wskazać miejsce, gdziebym się mogła przespać? — spytała z wahaniem. — Senna jestem bardzo.

— Przespać się! — zawołał Machno. — Kpisz chyba ze mnie?

Ach! zwykłe brzmienie tego głosu, zmienionego na chwilę!

D. c. n.